

Zdystansowani

-Dobrze się tutaj czuje? - Młody mężczyzna koło trzydziestki zadaje pytanie, które słyszę każdego dnia po piętnaście razy. Udaje zatroskanego, ale przynajmniej tu czasem przychodzi i płaci zawsze na czas.
- Cóż, gwarantuję panu, że jest pod najlepszą opieką. - O nic więcej nie pyta. Wychodzi a ja puszczam oko do nadchodzącej brunetki w idealnie wykrochmalonym, białym kiltcie. Ślicznie się do mnie uśmiecha.
- Ten młody był bardzo podobny do ciebie za czasów twej świetności. - Rzuca, zabierając dokumenty i wracając do swoich podopiecznych.
Jej słowa wprowadzają mnie w niemalże zakłopotanie. Ten łysy w dresach Nike, słuchawkach scullcandy i brudnych Adidasach? W myślach przenoszę się do tamtych czasów. Wszystko wraca tak wyraźnie, tak klarownie...

Nawet w marzeniach nie myślałem o oryginalnych ciuchach. Prawdziwe Adidasy?! Mnie stać było co najwyżej na buty z bazaru, albo kradzież jakichś lepszych z obuwniczego. Byłem dobry w te klocki. Adam zagaduje sprzedawczynię a ja załatwiam nam garderobę. Do czasu. Potem przewrót, rozprawa i wybór: poprawczak albo praca społeczna. Wiedziałem, że jeśli wybiorę zakład poprawczy, już całkowicie stracę szansę na zdobycie zawodu czy jakiegoś wykształcenia. Z drugiej strony nie chciałem matce sprawiać więcej przykrości. I tak trafiłem do Domu Spokojnej Starości o jakże twórczej nazwie "Spokojna Przysiań". Mnie ta nazwa przywodziła na myśl coś o „spokojnym dogorywaniu”. Albo raczej OSTATNIM porcie. Tak zaczęło się moje największe życiowe doświadczenie i najpiękniejsza przygoda.

Lekcja 1: Maniery - żeby nie było!

Wchodząc nawet nie zwracałem uwagi na wycieraczkę, naniósłem mnóstwo błota i wody, bo na zewnątrz lało jak z cebra. Także meldując się w recepcji wpiery zostałem obdarzony najmroczniejszym wzrokiem z pod okularów, jaki w życiu dane mi było zobaczyć.

- Najpierw pan nauczy się higieny, dopiero potem odda papiery dla prezesa. Żeby nie było. - Powiedziała ani na chwilę nie spuszczać mnie z czujnego wzroku i nie dopuszczając na twarz nawet cienia uśmiechu. Ja też humor miałem fatalny, a jakże. Przez całe dwa miesiące miałem biegać koło tyłków niedosłyszących i wpoślepłych starców. Z czego miałem się cieszyć?! Załatwiłem u szefa, co miałem do załatwienia. A w recepcji czekał na mnie już biały kilt oraz para drewniaków.

- Nosisz to codziennie i pozbywasz się też dresowych spodni. Po zakończeniu praktyki zdajesz sprzęt z powrotem do mnie więc dbaj o niego. Żeby nie było. - Mówi i przysunęła mi jeszcze kartkę i długopis. - Nazwisko czytelnie, żeby nie było.

Co ona na z tym "żeby nie było"? To irytujące! Ale nic już nie mówiąc, podpisałem dokument i spojrzałem na kupkę bieli przede mną.

- O tym możemy zapomnieć. - Powiedziałem stanowczo, wskazując na buty. - Płaszcz od biedy ujdzie, ale tego nie włożę. Nie będę ich nosił, proszę się nie łudzić. A dresy to jedyne spodnie, jakie akceptuję. Uprzedzam, ŻEBY NIE BYŁO. - Powiedziałem ostro i nie czekając na reakcję skierowałem się do drzwi, nad którymi wykaligrafowany wielkimi literami napis głosił "PERSONEL". Tam też dowiedziałem się od wiele miłszej starszej pani, co mam właściwie robić. W zasadzie moje obowiązki miały być proste: pomoc przy staruszkach, przebieranie pościeli, polerowanie podłogi i takie tam inne duperele. Powinienem przeżyć.

Lekcja 2: Ja nie będę nigdy stary!

Wracając pierwszego dnia z roboty, dość konkretnie się przeraziłem. Nie dlatego, że boję się ciemności czy pobicia przez staczających się powoli na dno alkoholicznych brodaczy. Przytłoczyły mnie moje własne myśli i ich paskudny kierunek.

Nie chcę być nigdy stary. Spojrzałem na swoje ręce: silne, wysportowane. Podbiegłem kawałek, podskoczyłem. Potrafiłem to z niezwykłą lekkością. A kiedyś mam ledwo wchodzić po schodach, prosić innych o pomoc przy zmianie bielizny? Mam być ślepym sklerotykiem? Żyć za kilkaset złotych miesięcznie, utrzymując tym siebie, zakupując lekarstwa i jeszcze pomagać finansowo ewentualnym dzieciom? Pewnego dnia stać się czerstwy i przejrzały? Nikomu niepotrzebny? Jak zapomniany eksponat w nudnym muzeum? Dzieci na mój widok będą krzyknąć "Patrzcie, stary pan!", i biec przed siebie by dobić świadomością mojej niemocy i ułomności?! O nie, ja nie będę nigdy stary...

Lekcja 3: Pierwsza [właściwa] lekcja

Za każdym razem mijając recepcję perfidnie pokazywałem na swoje trampki, chwając ich lekkość i wygodę. Dresy

też raczej średnio komponowały się z białym uniformem, ale postanowiłem, że tanio skóry nie sprzedam, nie dam sobą pomiatać, nie będzie mi banda wapniaków dyktować warunków. To jednak nie więzienie.

Po tygodniu dopiero pozwolono mi na pierwszy kontakt z pacjentami. Choć nienawidziłem tej roboty, byłem lekko podekscytowany, gdy kazano mi iść na świetlicę pełną podopiecznych ośrodka, coś tam zanieść. Tak jak się można było spodziewać, ujrzałem kilkanaście siwych osób, siedzących niemal w totalnej ciszy. Jedni odbywali zapewne niezwykle fascynującą partyjkę spowolnionych szachów, inni grali w Chińczyka przy pomocy lupy, jeszcze inni czytali. Najbardziej rzucała się w oczy trójka hazardowiczów. Dwóch mężczyzn i kobieta grali w pokera na dwie karty w absolutnym skupieniu wyliczając nieaktualne pieniądze, bony towarowe, karnety i bilety koncertowe.

- Pink Floyd?! Uwielbiam ich! - Powiedziałem na tyle głośno, by zwrócić na siebie uwagę całej świetlicy.

Zawstydzony podniosłem palec do ust, przepaszając wzruszając ramionami i cichutko podszedłem do grających.

Od razu przysunąłem sobie krzesło do ich stolika i usiadłem na nim okrakiem, opierając łokcie na oparciu. -

Naprawdę znacie Floydów? Nie jesteście na nich zbyt...zamierzchli? - Spytałem autentycznie zainteresowany, przenosząc wzrok z jednego na drugie.

- Młody człowieku - zaczął starszy z mężczyzn, o białych włosach, ubrany w przyzółkłą koszulę i pulawerek w rąby

- zamierzchły to jest Chopin. I Bach. Myślisz, że ile my mamy lat? Jeździłem na koncerty "Floydów", jak ich

nazwałeś, zanim mama odczyła cię robić do nocnika. - Powiedział i kontynuował licytację. Zrobiło mi się trochę głupio, ale ciekawość wzięła górę.

- Jacy oni są? Tak na żywo? Raczej jacy byli za...eee...waszych czasów? - Spoglądałem od jednego, do drugiego, ale dopóki nie skończyli partyjki, moje słowa wisiały niemo w powietrzu.

- Ha! Słaba pleć, powiadacie, stare pierniki?! - krzyknęła pani obok mnie, zgarniając całą pulę. - Oczywiście, kochaniutki, że są boscy. Lepsi, niż z megafonu, to na pewno. - odpowiedziała już do mnie. - Prawdziwy orgazm uszu!

Jej słowa wprawiły mnie w niemałe zdziwienie, co z kolei spowodowało salwę śmiechu starszych panów.

- Nie przejmuj się nią, łysy. - Powiedział do mnie drugi mężczyzna, wyglądający trochę jak Hugh Laurie w wersji brązowookiej i nieco starszej. - Ta nasza stara wiedźma nie zważa na słowa. Nie wyobrażasz sobie nawet, ile kryje się w niej perwersji. Obawiam się, że jak dłużej z nami pobędziesz, może cię nawet zgorszyć. - Nie wiem, czy była w tym jakaś aluzja, ale całkiem mnie to rozbawiło. I chyba śmiało się zbyt głośno, bo "Żeby-Nie-Było" wpadła nagle do świetlicy karcąc mnie i wzywając wzrokiem.

- Lepiej pójdę, chyba nie powinienem tu przeszkadzać. - Wstałem i z uśmiechem dodałem: - Żeby nie było. -

Zrozumieli żart i zaczęli śmiać się jeszcze głośnie. Zaprosili mnie jeszcze na partyjkę pokera któregoś dnia. W recepcji czekała już na mnie lista zadań do wykonania, niewątpliwie za karę. Nie buntowałem się, humor znacznie mi się polepszył. Najpierw jednak spytałem o tamtych troje. Dowiedziałem się tylko, że starszy z panów, Stanisław, był jakimś profesorem, ten przypominający House'a to Robert, w zasadzie nikt ważny, a kobieta jest emerytowaną gwiazdą estrady. Wszyscy zwracają się do niej Madame.

- Dziękuję. Zabiorę się od razu za posprzątanie holu, żeby nie było. - Powiedziałem spoglądając jeszcze na listę i nawet puszczając oko recepcjonistce.

Lekcja 4: Co ty właściwie wiesz o życiu?!

W następnym tygodniu, wracając już do domu po pracy, usłyszałem znajome akordy. Wiedziałem, który pokój mijam, byłem już obeznany z planem budynku. Postanowiłem to sprawdzić, bo nie sądziłem, by wapniaki mogły mnie aż tak zaskoczyć. A jednak. Zapukałem, ale zanim kobiecie głos zezwolił mi na wejście, minęła dłuższa chwila. Zobaczyłem Madame ubraną w piękną suknię z czerwonej koronki, czarne buty których nazwy oczywiście nie znałem, a jej szyje zdobił sznur pereł pasujących do obuwia. W pokoju unosił się znajomy, słodki zapach, ale za cholerę nie mogłem przypomnieć sobie, skąd go znam.

- Chłopaki, to tylko łysy, możecie wyjść. - zawołała wyraźnie się rozluźniając.

I wtedy z przylegającej do pokoju łazienki wytoczyło się dwóch jej pokerowych kompanów, trzymających w rekach karty, pieniądze, popielniczkę i to, co wydawało ten znany mi zapach.

- Palicie skręty?! W tym wieku?! - mojemu zdziwieniu zawtórował śmiech zebranych.

- Nie wolno nam? - zapytał zasmucony pan Robert. - Och, więc mamy gnić w łózkach, żeby spełnią twoje wyobrażenia seniorów? Słyszałaś, Zosiu, jesteśmy za starzy... - Kończąc zdanie wybuchł śmiechem, już nie mógł dłużej udawać powagi. Zaraził tym i mnie.

- Młody człowieku, skoro „Stary człowiek i morze” to nam też wolno. - Skomentował pan Stanisław, a ja wytrzeszczyłem oczy.

- Nie wiedziałem, że ten żart jest tak stary! W gimnazjum mieliśmy z tego niezłą bekę...

- Co mieliście, kochaniutki? I gdzie to jest "gimbaza", tam chyba nie byłam - dopytała Madame.

- Bekę. No wie pani, śmieszyło nas to. A "gimbaza" to gimnazjum, taki rodzaj szkoły, po podstawówce...

- Wiem, co to jest gimnazjum. Ale mówże po polsku, młodzieńcze. - przerwała mi nieco oburzona, ale po chwili złagodniała i zaproponowała dołączanie do gry. Odpowiedziałem, że zgodzę się, jeśli mi wyjaśnią, skąd znają Papa Roach, którzy ciągle brzmieli w tle.

- O, młody człowieku, jak Ty mało wiesz o życiu... - zaśmiał się pan Stanisław podając mi karty do rozdania. Patrzyłem na nich i nie mogłem uwierzyć. Wydawali mi się tacy młodzi, choć cała trójka przekroczyła już osiemdziesiątkę. Tej nocy usłyszałem różne historie, oczywiście najwięcej z czasów wojny. Wysłuchiwałem o wzlotach, upadkach, katastrofach i euforiach. Niesamowite, ile ci ludzie mieli w sobie witalności, hartu ducha, poczucia humoru i przede wszystkim dystansu do siebie, własnych ułomności i defektów. Było już dawno po północy, gdy mężczyźni, włącznie ze mną, zaczęli się zbierać do siebie. A ja przecież miałem spory kawałek, nie mieszkałem kilka drzewi dalej. Postanowiłem jeszcze cicho poodprowadzać moich "kolegów".

- Oh, młody, i tak pewnego dnia stwierdzisz, że impotencja nie jest taka zła w porównaniu z reumatyzmem. - Powiedział na pożegnanie pan Robert wstając z kanapy i krzywiąc się lekko od bólu pleców. Ci ludzie nie przestaną mnie zaskakiwać, byłem o tym przekonany. Całkowicie niszczyli moją koncepcję starości. Ulegała ona niekontrolowanej autodestrukcji. Wszystko w co do tej pory wierzyłem, całe moje przekonanie o konieczności starzenia się, zawisły nagle na włosku tego przeżycia. Doświadczenia odrobiny czasu z ludźmi tak niezwykłymi. Mój światopogląd eksplodował, zabijał się, rozdrabniał, psuł, niszczał niemal na moich oczach. Nie wiedziałem tylko, jak pokierować swoją młodością, by nigdy jej nie tracić...

Lekcja 4: Regeneracja

Po miesiącu uznano, że jestem na tyle obeznany i niegroźny, że mogę zabrać któregoś pacjenta na spacer. Pogoda była piękna, ale nie upalna, czyli wprost wymarzony lipiec. Przed drzwiami czekał już na mnie podopieczny na wózku, którym okazał się nie kto inny, jak Madame Zofia. Wcześniej nie zauważyłem, że jest kaleką. Ale przywitałem się grzecznie i spytałem o samopoczucie. Tyle się już nauczyłem, kulturą wiele można zyskać. A i jakoś przyjemniej się żyje, nie używając już tylu wulgaryzmów i wyzwisk, a przystając czasem, by posłuchać, co inni mają do powiedzenia. A mają dużo. I na pewno bardziej wartościowych przeżyć i doświadczeń, niż kryminał dla młodocianych przestępców. Prowadziłem Madame wąską ścieżką spacerniaka - jak nazywałem ogród przylegający do ośrodka - kiedy przez furtkę ukrytą nieco za winklem weszła najpiękniejsza istota, jaką widziałem w swoim wieloletnim już przecież życiu. Mimowolnie odwróciłem się za nią, licząc, że może uda mi się jeszcze raz spojrzeć w jej czekoladowo-brąz oczy. Nie powiodło się.

- Instynkt jednak bierze górę, co kochanieńki? - zagadnęła Madame, ale widząc moje zmieszanie i zakłopotanie nie pytała o nic więcej, tylko podejrzanie się uśmiechała. - To Kamila, wnuczka Roberta, równie niesforne stworzenie co ten nieznośny starzec. Ale kochane dziecko, naprawdę kochane... - I śliczne, chciałem dodać, ale zostawiłem tę informację już dla siebie.

- A co powiedziała pani na coś...szalonego? - Spytałem, gdyż w tym momencie przyszła mi do głowy świetna myśl. - Bo dlaczego mielibyśmy ograniczać się do murów tego zapchlonego i śmierdzącego stęchlizną ośrodka?

- Chyba nie zamierzasz mnie porwać? - Spytała przestraszona.

- Niezupełnie. Widzi pani, ta furtka musi gdzieś prowadzić. Nie powinno być niebezpiecznie, wszędzie tylko natura, natura, zieleń, drzewka i natura. - Zachęcałem. - Więc jak? Spadamy stąd?

Bardzo niechętnie, ale zgodziła się. Po przekroczeniu granicy musiałem jednak przyznać, że pomyliłem się. To nie była tylko natura, a prawdziwy jej cud. Przed nami wznosił się potężny pagórek na którym rosły dwie wiekowe lipy, pokryte teraz bujną zielenią.

- Brakuje jeszcze melodyjki jak z reklamy papieru toaletowego i będzie idealnie. Prawdziwa idylla. - Lekko drwiąco skomentowała moja towarzysząca, klaszcząc w dłonie. Ale widziałem, że podoba jej się to, co widzi. To, co jeszcze może oglądać. Być może ostatni raz...

Zatrzymałem panią Zofię pod drzewem, sam siadać obok. Zacząłem bawić się żdźbłem trawy, które nieskutecznie usiłowało oderwać moje myśli od brązowookiej piękności, spotkanej zaledwie kilkadziesiąt minut temu.

- Mogę panią o coś spytać? - Zacząłem nieśmiało.

- Młodzieńcze, ludzkość przestanie istnieć tak naprawdę wtedy, gdy skończymy zadawać pytania. - Odpowiedziała serdecznie.

- Kochała pani kiedyś? - Spytałem. Nieme chwile oczekiwania ciągnęły się jak krówka, tkwiąca zawzięcie między zębami, skutecznie uprzykrzając samą czynność jedzenia, odbierając jej wszelki urok. I zapewniając wieczną pracę dentyście. Ale doczekałem się.

- Wiesz...był taki ktoś. Wiele, wiele lat temu. - Jej wzrok zmętniał, jakby nie widziała już mnie, ani tego, co nas otacza. Była TAM, pewnie daleko stąd. Wiele lat stąd. - Byliśmy bardzo młodzi. I tak niesłychanie szczęśliwi, pod warunkiem, że byliśmy razem. Jeśli prawdziwa jest historia o dwóch uzupełniających się połówkach, to on był tą drugą częścią mnie. Byliśmy nieskończonością. Naszym marzeniem i zarazem misją było spełnić wszystkie

wyobrażenia romantyzmu ówczesnych podlotków. Tak więc całowaliśmy się w deszczu, płynęliśmy gondolą, liczyliśmy spadające gwiazdy, jedliśmy kolację przy świecach na dachu wieżowca, zapięliśmy kłódkę z inicjałami i tak dalej... Kochaliśmy się w każdym możliwym miejscu i czasie. Nie było dla nas ograniczeń przyzwoitości, ważniejsza była nasza miłość i nieznająca upustu namiętność. Po prostu to robiliśmy. Ale nie martw się, mój drogi, nigdy publicznie. - Mówiła śmiejąc się, chyba widząc moje zaczerwienienie na twarzy. - On zawsze dbał o to, by nikt nas nie widział. "O nie, mała, nie pozwolę, by ktokolwiek prócz mnie widział, jak dochodzisz" - mówił. Oj taak, dobre były to czasy. - Dodała już bardziej jak na osiemdziesięciokilkuletnią kobietę przystało.

- Co się więc stało? Czy byliście razem "długo i szczęśliwie", jak w prawdziwych bajkach? - Zapytałem w końcu. Posmutniała.

- Nie, mój drogi. Tak się nie stało. Obawiam się, że tego nie zrozumiesz. - Spuściła głowę, patrząc na ręce. Trzęsły się. Tego również wcześniej u niej nie zauważyłem. Ona naprawdę się starzeje, nawet ona...

- Oh, nie nie, nie martw się, nie piłam. - Powiedziała zauważając moje zainteresowanie jej dłońmi. - Przynajmniej w ciągu ostatnich kilku dekad. - Dodała jeszcze ironicznie.

- Nie o to mi chodziło. Tylko...jak więc inaczej mogła się skończyć taka znajomość? Chyba naprawdę nie rozumiem...

- Każdemu, naprawdę każdemu życzę, by przynajmniej raz w życiu zaznał takiego uczucia. By nikt nie umierał bez doświadczenia miłości. Ale ja jestem troszkę szalona, wiesz? A byłam jeszcze bardziej. No a potem kariera i...życie toczyło się dalej, coraz wyżej i wyżej.

- I była pani szczęśliwa? Śpiewanie zastąpiło mężczyznę? Ciepło jego ramion, żar pożądania i blask uczucia? Dobrze to ująłem? - dopytywałem, skonsternowany i autentycznie zaciekawiony. Ja przecież nigdy nie porzuciłbym takiej wielkiej miłości!

- Widzisz, będąc na szczycie nie masz już dachu nad głową. Niczego, co by mogło cię ochronić. Jesteś zdany jedynie na własne predyspozycje i to, czego nauczyłaś się wspinając tam. Sam Bóg jest sierotą, nie ma nikogo, kto stanąłby wyżej od Niego, spojrzał z miłością i rzekł, że to nie Jego wina i szablonowego banału, że wszystko jeszcze będzie dobrze... - wprawiła mnie tym w osłupienie, ale zdawała się tego nie dostrzegać i kontynuowała - ...tak więc, oczywiście, że mi go brakowało. Usiłowałam zapełnić życie bez niego licznymi bezuczuciowymi romansami, tanim whisky i kokainą. Uratowała mnie rodzina, bla, bla, bla. Tu już historia jest nudna jak flaki z olejem, więc daruję ci ciąg dalszy moich marnych wypocin. - Kończy rozbawiona, ze łzami przeszłości w przeźroczyście niemal oczach. - Nadeszła starość.

- Właśnie, o to też chciałem zapytać. Jak to jest, że pani i pan Stanisław i pan Robert jesteście tacy...no tacy... - długo starałem się znaleźć odpowiednie słowo.

- Nonkonformistyczni? - pomagała mi Madame.

- Nie wiem nawet, co to znaczy. Powiedzmy: nie do końca tacy, jakimi widzę ogół ludzi w waszym wieku. - Usiłuję ująć to łagodnie.

- Ach tak, niedojrzali, o to ci chodzi? Racja, jesteśmy nieco inni i chwała Bogu, że nie muszę kończyć się tutaj sama, w nudzie i wiecznej ciszy.

- A więc jak to robicie? No, że nie martwicie się tak starością, zmarszczkami i...

- Sugerujesz mi, że mam zmarszczki? - Zapytała pani Zofia, pospiesznie już wyciągając lusterko z torebki.

- Nieee, ja chciałem... - zacząłem się tłumaczyć, a ona wybuchła na to śmiechem, jakby zrobiła właśnie komuś najlepszy kawał w historii.

- Doobrze, wiem przecież, że wyglądam już jak przejrzałe jabłko. A ty spójrz na słońce, zachodzi. - Odwróciła moja uwagę, zmieniając temat.

- No widzę. Uwielbiam obserwować zachody słońca.

- Są niezwykle. Rankiem słońce wschodzi, zwiastując nowy dzień, budząc do życia całą naturę. I wszystko wydaje się takie fascynujące! W południe ogrzewa to, za co jest odpowiedzialne, umożliwia wzrost i rozwój. A wieczorem zachodzi, chowa się. Zmienia nieco swoją postać, kolor, staje się bardziej zarysowane, wyraziste, jakby zmęczone po całym ciężkim dniu. Ale czy to odbiera mu jego urok? Czy to nie jest dokładnie to samo słońce, które jeszcze rankiem też żywo wzbijało się na szczyt nieboskłonu? - Patrzyła na mnie uśmiechnięta i widziała, co się ze mną dzieje. Rozumiałem. - Czym różni się od słońca popołudniowego? Tym, że nie świeci już tak jasno? Ale przecież tylko zachodzącemu możemy tak dokładnie się przyjrzeć, tak wiele zaobserwować, nauczyć się, podziwiać. Musiało przejść długą wędrówkę poprzez cały dzień, by dojść do tego właśnie punktu na zachodzie, gdzie będzie mogło spokojnie odpocząć. - Madame przenosi wzrok na prawie niewidoczną już tarczę Słońca. - Ale przecież ono nie przestaje istnieć, prawda? Wrz z nadejściem zmroku nie unicestwia się, a jedynie przechodzi, by następnego dnia znów powstać. To, że my go nie widzimy nie oznacza, że nie istnieje. Nasza wiedza pozwala na to, by nie wątpić w nadejście kolejnego poranka. Ale to nadzieja pozwala nam wierzyć, że starość nie jest nieprzyjemną koniecznością, a jedynie niełatwym etapem przejścia z życia przez śmierć do kolejnego odrodzenia. Na zawsze, kochaniutki, już na

zawsze... - Wyraźnie skończyła, gdyż pozwoliła łzom swobodnie płynąć po porysowanych czasem, białych policzkach...

Szturchnięcie wyrywa mnie z głębokiej nostalgii.

- Hej, stoisz już dobrych paręnaście minut z tymi papierkami w połowie drogi do niszczarki. - Kobieta. Martwi się. Widzę to po jej minie. I w tych prześlicznych oczach...

- Wiesz, wspominałem właśnie. Panią Zofię i naszą ostatnią rozmowę, gdy ją porwałem na mały spacer, opowiadałem ci. I pana Stanisława. I twojego dziadka też, niezły z niego kompan do rozmówek był, nie ma co. - Mówię już śmiejąc się i wpadamy razem w wir wspomnień.

Tak, udało mi się wyrwać tę piękność, jest teraz moją żoną. Od ćwierć wieku prowadzimy własny Ośrodek Spokojnej Starości, który nazwaliśmy OCCIDENS SOLIS co z łaciny oznacza „zachodzące słońce”.

Wszyscy moi starzy podopieczni zmarli, najszybciej niestety Madame Zofia, bo już w tydzień po naszej pamiętnej wyprawie. Wiem, że ona się nie bała. Wiem, że jest teraz szczęśliwsza. Doczekała się swojego zachodu. Swojego przejścia.

I kto wie, może kocha się ze swoją Miłością, gdzie i kiedy chcą, a czas i miejsce znów nie istnieją..? Ale lepiej nie będę sobie tego wyobrażał - żeby nie było.

Sol

(senior)